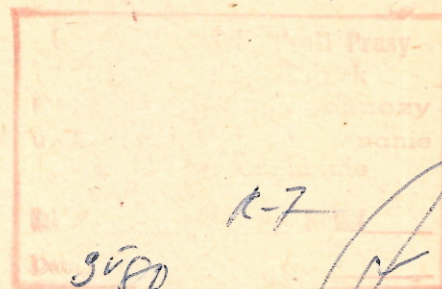


Autor: Krzysztof Nowicki
Redakcja Liter.i Report.

Dnia 4.V.1980 r. 167
Godz. 16.05 - 17.30

M I L A

/fragment powieści/



Handwritten notes on the left margin: "K", "J", "K".

Nie mam słów, żeby opowiedzieć kim Mila była dla mnie przez te wszystkie lata. Musiałbym napisać poemat. Na początku byłaby jak złocista pszczoła albo płomień zboża, szybka jak światło, ulotna Mila, która dawno zniknęła w marszach, jakie toczyliśmy wokół stadionu, nikt nie wiedział dlaczego, w marszach - pół biegach, gdy chowaliśmy się przed sędziami za murem albo ścianą żywopłotu.

Nie wiadomo po cośmy się wtedy tak spieszyli, z numerami przyklejonymi do plesów, na rozkaz kogoś ważniejszego od Laubzegi żegnani szybkimi gwizdkami i okrzykami przypadkowych kibiców. A potem były doły, śmietniska, przez które biegliśmy aż do mety, gdzie jacyś mężczyźni wpatrywali się w stopery. Tuż przed nimi znów udawaliśmy, że maszerujemy i że jesteśmy gotowi, choć nikt nie wiedział do czego.

Więc tamta Mila zginęła w tych marszach i na kartofliskach, gdzie ładowaliśmy metalowe kosze, bo wieś nie nadążała za głodnym miastem. Wtedy zginęła Mila złocista, cienka, warkoczysta.

Resztę zabrała jej fabryka narzędzi, gdzie co rano siedziała w biurze pod okiem czujnego kierownika.

I nagle zobaczyłem, że jest moją żoną. Było nam dobrze i nie mogliśmy ze sobą wytrzymać. Uciekałem przed Milą i nie umiałem znieść tęsknoty.

Teraz kiedy na nią patrzę, widzę, że nie ma już tamtej Mili, o której chciałem wam opowiedzieć. Odnalazłem kobietę, której /prawie/ nie znam. Krzątamy się po mieszkaniu. Mila mówi mi, że podjęła się pracy na kolonii. Wkrótce wyjeżdża do lasu. Mogę ją odwiedzić. Zapowiada się upalne lato, w co trudno uwierzyć. Prawdopodobnie jak zwykle wszystko utonie w zimnie i deszczu.

Patrzyłem zdumiony, że zdecydowała się na kolonie bez porozumienia ze mną. Ostatnio znów próbowaliśmy samodzielności.

Czy można bez siebie wytrzymać, czy można żyć?

Po raz pierwszy podjąłem tę próbę na szkolnej zabawie, kiedy nie mogłem się zdobyć, by poprosić ją do tańca, więc kłaniali się Mili inni chłopcy. Cierpiałem. Wówczas jeszcze wierzyłem, iż mam Anioła Stróża, który wszystko widzi i sprawiedliwie ujmie się za mną, gdy zajdzie potrzeba. Coś zmieni, odwoła, przywróci to, co być powinno. Teraz myślę, że Anioł Stróż gdzieś zniknął, choć wierzę, że nie pozwoli mi umrzeć.

Kiedy Mila wyjechała na kolonie, błąkałem się po mieście. Nie mogłem się na nic zdecydować jak to było zawsze w pierwszych dniach wakacji, kiedy wszystko było dozwolone i równocześnie niczego nie umiałem się podjąć.

Nie mogłem czytać. Tysiące książek, które otaczały mnie co dzień w bibliotece i przez które dotąd zostałem przeczytany - przemknęło przeze mnie jak wiązki nieuchwytnych światełek.

Niewiele chyba zostawiły. Na ogół mgliste wyobrażenie o sobie samym. Nic konkretnego nie mogłem sobie przypomnieć. Niczego dokładnie nie wiedziałem. Rozgrabiły mnie setki autorów.

W większości jeszcze żywych. Rozdarli mnie na strzępy. Nie zostawili mi nic własnego..Nie wiadomo do kogo należę i czyją jestem własnością. Ilu bohaterów połknęło mnie jak usypiającą pigułkę i teraz chrapie na półkach różnych bibliotek. W tym naszej biblioteki, która ma przecież największy w mieście księgozbiór.

Postanowiłem, że zobaczę się z matką. Spędzę z nią jeden wieczór. Może chociaż raz będziemy szczęśliwi. Tymczasem przyśnił mi się plac, na którym jacyś ludzie odarli nas ze skóry. Staliśmy z matką w upale. W piersiach czułem ogień i to mnie zbudziło.

Więc znów nie odwiedziłem matki. Może bałem się, by nie odkryła jak na nią patrzę. Tyle dobrego niegdyś zaznałem, że naprawdę ona nie zasługuje na takie patrzenie. Wstydzę się mego wzroku. I nie mogę się go pozbyć. Chciałbym, żeby matka ukryła się przede mną. Głęboko.

Wszystko, co nas spotkało, zdarzyło się w tym samym mieście. Tutaj są gmachy, w których mieszkałem przez lata lub godziny. Przede wszystkim nasze pokoje. Następnie szkoła, kina, szpital. Teraz biblioteka. Poza tym teatr, kościół, restauracja i dworzec. Nigdzie więcej nie byłem. Umrę, gdy te miejsca nie będą mnie potrzebowały,

Po kilku dniach zacząłem tęsknić do Mili. Jak dawniej. Rozpoczęliśmy telefoniczne rozmowy. Okropne. Przez cały dzień rozmyślałem o czym będziemy mówili, a kiedy otrzymywałem połączenie, wszystko zapomniałem. Słowa były jak kamienie w gardle. Milla szczebiotała jak szczęśliwa narzeczona. Ja ledwie się odzywałem. Takie były nasze zaślubiny. Jak zwykle płynęło kłamstwo za kłamstwem. Nic z tego, co czułem. Tylko udawanie. Niczego nie potrafiłem zmienić. Zwłaszcza że zdawało mi się, iż wciąż mówię do telefonistki, która darowała nam kilkuminutowe połączenie.

Najpierw tylko podglądałem Milę. Nie miałem odwagi podejść do niej, gdyż była otoczona gromadką chłopców. Ich pomarańczowe chusty, zawiązane na szyjach, były ruchliwe, że ledwie umiałem objąć wszystkich wzrokiem. Jeszcze nie widziałem Mili, żeby tak umiała tańczyć na łące. Unosiła ręce, klaskała, a chłopcy krzyczeli, to znów rozbiegali się po trawie.

Łąka pachniała w słońcu. Mila wydała mi się obca. Nie mogła odgadnąć mojej obecności, bo wszyscy byli zajęci zabawą, której nie znałem. Nie było też w pobliżu nikogo, kto niegdyś pilnował naszej kolonii. Laubzegi ani Komendanta. Żadnego z tamtych chłopców. Jakby wszyscy wyginęli na wojnie, na wielkiej wojnie czasu. Kruszymy się, dziewczynko, szeptałem, toniemy. Tak wcześniej? Trudno. To jest naprawdę nieważne dla całego świata.

Nagle przyłgnął do mnie zapach peleryny matki, do której przytuliłem się przed laty, kiedy przyjechała mnie odwiedzić na koloniach i przywiozła pachnący jabłecznik. Znów odnalazł mnie tamten zapach rozgrzanej gumy, bowiem było ciepło i nawet dziwiłem się, że matka była taka ostrożna i zabrała ze sobą pelerynę. Potem rozsiedliśmy się na niej i to był najradośniejszy dzień mego dzieciństwa, który pamiętam.

Chłopcy wciąż skakali wokół Mili. Niektórzy w dresach, inni w krótkich spodniach. Czasem śpiewali. Nie znałem słów tych nowych piosenek. Tylko "Morze nasze morze, mamy rozkaz się utrzymać albo na dnie twoim lec". To wszystko, co zapamiętałem ze swoich kolonii.

Wreszcie wyszedłem z za drzew. Kiedy pojawiłem się na drodze, chłopcy zamarli. Na pewno każdy z nich myślał o swoim ojcu tak długo, póki się nie przekonał, że mnie nie zna. Tylko Mila klasnęła w dłonie i powiedziała coś chłopcom, którzy rozbiegli się po łące, a nawet zaczęli się chować w pobliskim zagajniku.

Siedliśmy z Milą na trawie. Przyjechałeś? Przyjechałem . Nie mogłem się przyznać, że uciekłem. Nieumiałem jej opowiedzieć o pożarze biblioteki. Wciąż jeszcze stoję na Rynku. Nikt o tym nie wie. Przecież mam krótki urlop. Moja nieobecność została usprawiedliwiona. Dlatego stoję w tłumie, który patrzy na bibliotekę, choć nikt nie wie dokładnie, co się stało.

Dość, że do biblioteki przyłgnęły dwa wozy straży pożarnej. Jeden z nich dotyka drabiną pierwszego piętra. Skoro lśnią kaski, musi być ogień. Jednak nie widać płomieni. Nie ma też dymu.

Może przyjechali specjalnie, by obejrzeć wystawę. A może po prostu od tego trzeszczenia zawaliły się schody i wkrótce

wszyscy będą opuszczać bibliotekę. Najpierw na drabinie ukaże się dyrektorka. Zobaczymy jej grube nogi. Potem inne kobiety. Wszystkie odcienie rajstop. Jerzynka. Żona portiera. Zastępca. Portier i palacz. Wreszcie Rotmistrz. Mój Boże, sam Rotmistrz ukaże się w otwartym oknie. Zapewne nie wejdzie na drabinę, lecz pozdrowi tłum, a potem skoczy. I zamiast spadać - wzniesie się w powietrzu jak gołąb i zniknie w chmurach.

Myślałem, by pójść do biblioteki wcześniej. Zanim oni wszyscy pokażą się na drabinie. Żebyśmy byli razem tak, jak pracujemy. Ale nie mogłem się ruszyć z miejsca. Nie wiedziałem czy mnie przepuszczą strażacy. Przecież nie mogłem nikomu w niczym pomóc. W tłumie czułem się lepiej. Nikt nie wiedział, że ja też jestem bibliotekarzem. Oni tam również nie myśleli o mnie. Jeśli mają być ofiary, obejdzie się bez mego udziału. Gdyby nie było ofiar, nie ma o czym mówić.

Więc w tłumie było mi raźniej. Obcy ludzie po raz pierwszy patrzyli na bibliotekę z pożądaniem. Wszyscy zrozumieli, że a tam kryje się coś niezwykłego, choć nie znali kształtu owej niezwykłości. Wciąż czekaliśmy na ogień.

Jednak ogień się nie pojawił. Potem przeczytałem w gazecie, że nastąpiło zwarcie w instalacji elektrycznej, od którego

zajęła się podłoga, co zaraz zauważono. Przecież nikt nie mógł unosić się w powietrzu. Więc ten stary gmach nie tylko skrzypi, jest niebezpieczny.

Trzeba zbudować nowy. Dyrektorka wciąż wierzy w obietnicę, którą usłyszała w pobliskim ratuszu, ale my wiemy, że w mieście nie starczy dachów nad głowami ludzi, nic dziwnego, że brakuje ich dla książek. Może tak być powinno?

Więc nawet nie było porządnego pożaru. Prawdziwy ogień musiałby coś zmienić w mieście. Najpierw spłonąłby Rotmistrz. Następnie każdy z nas by spłonął.

Patrzyłem na krzątanie strażaków. Schowany między ludźmi. Potem pomyślałem, że ktoś mógłby mnie zobaczyć z okien biblioteki. Dlatego stamtąd uciekłem. Przecież i tak miałem pojechać za miasto, do Mili. Więc nic się nie stało.

Wiedziałem, że ona spyta czy przyjechałem, bo zawsze szukała potwierdzenia dla czegoś, co można przecież samemu zobaczyć.


Powiem, że przyjechałem. Nie wiadomo czy pozna, że nie kłamię, choć nie mówię prawdy. Dotknąłem jej ręki. Była ciepła. Prawie gorąca. Opowiadała mi o swojej kolonii. Ledwie słuchałem.

To znaczy słuchałem jej głosu, a nie tego, co mówiła.

Nagle podbiegł chłopiec, który począł skarżyć, że tam, za krzakami rozbijają jakieś żelazo. Mila zerwała się i nie widząc nic krzyknęła - zostawcie. Widać jej nie posłuchali, bo zaraz rozległ się wybuch. I wtedy wszyscy zamarli na swoich miejscach, jakby nikt nie mógł uwierzyć, że tyle lat po wojnie ktoś jeszcze poluje na chłopców.

Wścisnąłem łokieć Mili - poczekaj. Musisz na siebie uważać - powiedziała. Zbliżałem się do krzaków. Z lękiem. Wszyscy patrzyli, co zrobię. Więc już nie mogłem się cofnąć. Zobaczyłem, że tam leży tylko jeden chłopiec. Można by pomyśleć, że zasnął na brzuchu gdyby nie krew, która pochlapała mu ręce.

Nawet nie płakał. Patrzył uważnie jak się zbliżam jakby mnie badał czy starczy mi odwagi. Uklękłem przy nim - niech pan niczego nie rusza - powiedział poważnie. Zobaczyłem jakąś dymiącą puszkę. Pomyślałem, że może wybuchnąć, ale musiałem tu zostać. Jak ci - spytałem. Przymknął oczy. Zaraz będzie pomoc, sami nie poradzimy. Kiedy to powiedziałem, pojąłem, że musimy być bardzo cierpliwi zanim ktoś tu przyjedzie. A przede wszystkim cierpliwy musi być niewypał.



Trudno powiedzieć jak długo trwało nasze czuwanie. Dość że nic więcej się nie zdarzyło. Chłopiec leżał spokojnie. Często otwierał oczy, jakby chciał sprawdzić czy jeszcze jestem przy nim. Wycierałem mu czoło chusteczką.

Odwróciłem się dopiero wtedy, gdy usłyszałem warkot silnika. Zobaczyłem białe fartuchy skradające się ku nam z noszami z taką ostrożnością jakby szli przez zaminowane pole.

Nic mu nie jest - powiedziałem. Nie zwrócili uwagi na moje słowa. Żyje - powtórzyłem. Lekarz popatrzył na mnie niecierpliwie i mruknął coś do pielęgniarki, czego nie zrozumiałem. Położyli chłopca na nosze. Oddalali się wolno z miejsca, w którym dotąd byłem z rannym.

Chłopcy patrzyli na mnie z podziwem. Udawałem, że tego nie widzę i że nic się nie stało. Skoro tam poszedłem, a pójść musiałem, bo nie było w pobliżu nikogo dorosłego poza Milą, musiałem wytrzymać. Przecież nie mógłbym uciec na oczach chłopców. Zresztą nie byłoby gdzie uciekać. Nawet przed sobą. Wszystkiego już próbowałem. I wiem, że nie ma miejsca, gdzie można by się skryć i nadal udawać, że wszystko jest w porządku.

Prędzej czy później następuje dzień, że każdy człowiek wychodzi na światło. I odtąd musi być przytomny. Może tylko w tym przebudzeniu jest prawda.

Nie wiedziałem, że to mi się zdarzy w szczerym polu. Tak niespodziewanie. Z chłopcem, którego nigdy nie widziałem. Nie znałem nawet jego imienia.

Jednak później pomyślałem, co by się mogło stać, gdybyśmy byli sami na trawie, gdybym nie wiedział, że tam dalej jest Mila otoczona grupą wystraszonych chłopców i wszyscy czekają na to, co zrobię. Więc byłem dzielny. Plątałem palce w trawie, patrzyłem na leżącego czy jest ktoś bardziej niewinny na świecie niż on i że zły duch wojny dosięgnął także jego dzieciństwa, bo dla wszystkich chłopców starczy niewypałów, które połknęła ziemia.

Od dawna chciałem być sobą. Ale nawet teraz nie wiem czy mi się to udało. Może właśnie tym razem wszyscy wzięli mnie za kogo innego. Zresztą być sobą można tylko wobec kogoś. Czy zatem byłem sobą wobec rannego chłopca, który - jak mi się zdawało - przyglądał mi się w zdumieniu, że wciąż jestem przy nim i że obaj żyjemy, czy wobec Mili poblądłej po tym wybuchu, wylęknionej nie mniej od chłopców, którzy skupili się przy niej i czekali na pogotowie.

Byliśmy dzielni. Każdy na swój sposób. Chłopiec, który krwawił; Mila, której biała twarz świeciła z daleka i ja, który nie ruszałem się z miejsca tak długo, jak to było potrzebne.

Następnego dnia szpital. Mila ostrzegła, że nie powinienem tam chodzić, bo nie jestem brat ni swat tamtego chłopca. Nie miała racji. Nie wiedziała jak na mnie patrzył na łące, kiedy byliśmy sami na świecie. Przyłgnęliśmy do siebie. Musiałem go zobaczyć i byłem pewien, że on na mnie czeka.

Leżał w dużej sali, gdzie blade twarze chorych, owiniętych w pościel, wypatrywały litości i zdrowia. Miał zabandażowane ręce i wydało mi się, że został uniesiony w swoim łóżku wyżej niż inni. Naprzeciw leżał starzec. Ukrzyżowany Don Kichot. Miał ręce przywiązane do łóżka, nad podłogą plastikową torebkę, do której ściekał mocz.

Chłopiec mógł zobaczyć swoją śmierć. Przecież to nie będzie kostucha, tylko oddychający z trudem staruch. Nawet nie wiadomo czy widział chłopca. Może wydało mu się, że śni dzieciństwo. Nie umiał sobie jednak przypomnieć dlaczego ma zabandażowane ręce. Delikatnie poruszał powiekami i drżał.

Chłopiec leżał spokojnie. Popatrzył obojętnie w moją stronę, Zrozumiałem, że mnie nie poznał. Możliwe, że teraz w mojej twarzy nie było lęku, który widział na łące. Wprawdzie leżący staruch budził litość i trwogę, to jednak nie czułem się zagrożony. Wiedziałem przecież, że nic tu nagle nie wybuchnie, więc jesteśmy bezpieczni.

Chłopiec wolno odwrócił głowę i wtedy spostrzegłem, że przy jego łóżku siedzi mężczyzna. Teraz zrozumiałem dlaczego mnie nie poznał. Przecież miał przy sobie ojca. Zazdrościłem im.

Wiedziałem, że jestem tu już nikomu potrzebny. Chociaż ja potrzebowałem jeszcze tego chłopca, żeby uwierzyć, że stać mnie na coś.

Ścisnąłem w rękę bukietek pachnących groszków i torebkę czekoladowych pierników. Nikt nie zwracał już na mnie uwagi. Wyglądało, jakbym po prostu pomylił sale i szukał kogoś, kogo tutaj nikt nie znał.

Zagadnąłem dyżurnego lekarza - pan go musi ratować, tego chłopca. Popatrzył na mnie zdumiony, jakby chciał sobie przypomnieć - to pan jest może mężem wychowawczyni z kolonii - upewnił się i pokiwał głową. Zrobimy wszystko, powiedział sennie, będzie żył. Niech pan uspokoi żonę.

Wyszedłem z dyżurki. Tak bardzo chciałem usłyszeć, że chłopiec będzie żył. Dowiedziałem się, że wszyscy myślą, że ryzykowałem tylko dla Mili, żeby ją ratować, skoro zaniedbała swoje obowiązki i nie dopilnowała chłopców.

Jeśli tak myślą, wszystko na nic. To znaczy, że nie byłem dzielny. Nic nie zrobiłem dla tego chłopca leżącego w trawie, a wszystko tylko dla siebie. Znów mi się nic nie udało.

Jest na świecie niesprawiedliwość - jedni rodzą się nisko i nie mogą się wybić na żadną wysokość, drudzy szybują od początku w błękitach.

Wyrzuciłem kwiaty. Wracalem do Mili, żeby jej powiedzieć - będziemy żyć. Umrze tylko Don Kichot. Nikt go już nie potrzebuje. Świat nie bierze go już pod uwagę. Nawet powietrze o nim zapomniało. Dlatego przy jego łóżku dobrzy lekarze ustawili butlę z tlenem.

Wracalem do Mili i myślałem, że najważniejsze - trzeba żyć godnie. Nie powinniśmy śnić niezwykłości. Poprzestańmy na małym, na tym, co wystarczy choremu w szpitalnej sali. Potrzebujemy trochę szczęścia, kochanie, szeptałem.

To naprawdę wystarczy na najbliższe lata, skoro tamten chłopiec będzie żył odtąd jak nasz syn.

Nic więcej nie wiem o Mili. Niczego poza tym nie potrafię o niej opowiedzieć. Jest tak jakbym znów stał w naszej klasie i próbował sobie coś jeszcze przypomnieć. Laubzega uniosła głowę zaniepokojoną moim milczeniem, pyta czy to już wszystko, skinąłem głową zawstydzony, że wiem mało, chociaż tak mi zależy na jej odpowiedzi, uczyłem się długo, ale Milla wymyka mi się wciąż i nie umiem schwytać tej dziewczyny, która będzie moją żoną. Tego jednak nie mówię Laubzedze. Spuszczam głowę i czekam na jej wyrok